

Płomyczek

Rok 27 Nr 14

Pismo dla młodszych dzieci

15. III. 194



Generał Karol Świerczewski,
żołnierz, który się kulom nie kłaniał

Foto: WAT

Strona 15



KTÓRY SIĘ KULOM NIE KŁANIAŁ

(Wyjątek z książki J. Broniewskiej)

I oto pewnego marcowego poranku, w małym, zapadłym miasteczku Baligrodzie, nie opodal naszej wschodniej granicy, odbywała się taka właśnie inspekcja. Kiedy generał obejrzał już sobie wszystko dokładnie, po swojemu nie przepuściwszy i kucharzowi, a pogawędziwszy z chłopcami stojącymi w ciasnej wokół niego gromadzie, zapytał nagle jednego z oficerów:

— Słuchajcie no, kapitanie! A gdzie tu będzie najbliższa komenda WOP-u? Jaka tam droga?

Kapitan popatrzył na generała niepewnie. Już wiedział, co to znaczy. Jeśli powie, że droga dobra, to powie nieprawdę. Właśnie w okolicy włóczą się bandy leśne. Ci fałszyści ukraińscy z armii niemieckiej, ci dezterterzy i nie dobici Niemcy. Jeśli powie o tych bandach, to jeszcze gorzej, bo wtedy już na pewno generał pojedzie. Nie od dziś go znają. Zaczął więc dosyć wykrętnie:

— Obywatelu generale! Droga taka sobie: ani zła, ani dobra. Na 100 procent za nią nie można ręczyć. Bo... całkiem niebezpieczna.

— Cóż, mój kapitanie, znaczy niebezpieczna droga? A w Warszawie to ci cegła nie może spaść na głowę, choć Warszawa całkiem teraz bezpieczna? — zakpił generał.

Teraz już i inni zaczęli pomagać kapitanowi, choć bardzo niepewnie, bo także aż za dobrze znali generała.

— Kiedy ta maszyna, obywatelu generale, ma opony całkiem zdarte i motor też nie tego... Nie wyciągnie chyba...

— Kiedy to nic nie przygotowałeś... Bez zwiadu nie można w taką drogę ruszać... Posterunek WOP w Ciśnie.

Generał patrzył na nich po swojemu, kpiąco. Ale w oczach już było coś niedobrego. Czuli, że za chwilę mogą usłyszeć parę słów całkiem nieprzyjemnych. Jakąś małą a dosadną lekcję o odwadze, dyscyplinie i tym podobnych zaletach, bez których w wojsku to ani rusz. Generał jeszcze się jednak pohamował i całkiem nawet miękko powiedział:

— Cisna? A no, to się tam chłopcy ucieszą, jak nas zobaczą. Do nich i tak nikt nie przyjeżdża...

Głos był miękki, ale wiedzieli wokół stojący oficerowie, że to właśnie rozkaz, że na nie się nie zdadzą dalsze wykręty, prośby, przekładania.

Generał wydał rozkaz, wykręciły się trzy maszyny. Na tę osobową z przetartymi oponami nawet nie spojrzal. Siadł sobie na wielkim „Doggu” przy szoferze, przykrył się kożuszkim i powiedział krótko:

— Jazda! Na Cisnę!

Pierwsza maszyna z ochroną zaczęła prychać, parskać jak znarowiony koń. Ale motor nie chciał się zapalić. Stoi. Szofer kręci korbą.

Nic. Wskakuje do szoferki, kręci i majstruje, włącza, wyłącza gaz, naciska pedał. Maszyna nic. Ani drgnie. Szoferowi aż pot ciurkiem cieknie spod czapki. A maszyna jak stała, tak stoi.

General kazał ją wyminąć swojemu szoferowi. Za nimi ruszyła druga ciężarówka z żołnierzami. Spojrzał na zegarek: 9.15.

Pędzą po szosie. Na tę Cisnę. Do tych chłopaków z WOP-u, z samotnego, pogranicznego posterunku.

Szosa nawet niczego. Gładka. Po prawej stronie szosy strome wzgórze. Kiedy je mijali, zaterkotały nagle karabiny maszynowe, już z tyłu.

Gazu! — mruknął generał szoferowi. — Przez mostek!

Aż tu już obstrzał od przodu i z boku, wzdłuż całej trasy.

— Stać! — rozkazał generał.

Zeskoczył na szosę. Szybkim spojrzeniem objął żołnierzy zeskakujących z drugiej maszyny. Spojrzał na wzgórze. Wznosiło się ze 150 metrów nad szosą. Ciemniały tam od czasu do czasu odrywając się od ziemi lby bandytów. Ukraińskich faszystów z armii niemieckiej. Niemców na frontach nie dobitych. Dezerterów.

General stał wyprostowany. Od razu objął komendę:

— Brać wzgórze!

Nagle zaterkotał karabin z lewej strony. Banda otaczała oddziałek na gładkiej równinie z dwóch stron. Biją więc już z dwóch stron.

General zbliżył się do mostka nad strumieniem.

Strumień zakręcał w tym miejscu, drugi, wyższy brzeg był ostatnim możliwym punktem oporu.

Przeszedł pod nie ustającym ogniem na prawy skraj szosy. Krzyknął ku swoim:

— Zostawić małą grupę na osłonę! Przechodzić na drugą stronę strumienia!

Znów pod tym ogniem na lewą stronę mostku. Pod ogniem nie ustającym — wyprostowany. Kpiący ze śmierci. Spokojny. Nagle, już nad tym strumieniem zachwiał się lekko. skurczył, ręce przycisnął do brzucha. Czerwony strumień krwi trysnął przez palce:

— Jestem ranny w brzuch? — jakby się zdziwił.

Podskoczyli ku niemu z opatrunkiem. Stał wydając dalej rozkazy. Gwizdały kule. Od czasu do czasu trzaskał na szosie granat z handyckiego garlacza.

General chyba słabł od upływu krwi. Pozwolił się leciutko podeprzeć żołnierzowi, gdy schodził wzdłuż strumienia na nową pozycję.

A wtedy druga kulka, zdradziecka kulka z lewego skrzydła trafiła go w plecy. Zachwiał się. Pochwycili go we dwóch, już lecącego im z rąk bezwładnie. Położyli go na rozpostartym płaszczu.

— Co z wami, generale? — pytali przez gardła ściśnięte spazmem, rozpaczą. Jeszcze raz podniósł powieki, spojrzał na swych wiernych chłopaków gasnącymi oczami:

— Umieram. Nie zostawcie mnie tylko tutaj — wyszeptał już szeptem zacichającym, ostatnim. Zapadły powieki na oczy. Cienie rzuciły się na skronie, pogłębiły się nagle te bruzdy od kącików bielutkich już ust ku zapadłym nozdrzom.

Zacichł ogień ze wzgórza. Jeszcze raz szczeknął bandycki karabin z lewego skrzydła. Z dala od szosy leciał już szum motoru. Tego samochodu, który miał jechać na czele. Zeskoczyli chłopcy w biegu. Z automatami, złożonymi do strzału poczęli się wdzierać na owo przekłete wzgórze, ale banda już uciekła w panice, w dzikim popłochu.

Na rozpostartym płaszczu leżał generał. Z czerwonymi plamami krwi serdecznej na starym, jeszcze znad Oki mundurze, w którym najchętniej jeździł do tych swoich znad Oki chłopaków. Znad Oki, Sum, Lublina, Wisły, Nysy.

Krwia nasiąkł stary frontowy płaszcz. Choć na świecie był niby

pokój, w ten marcowy dzień 1947 roku. Tylko jeszcze widać nie dla Niego i nie dla tych Jego chłopaków, co dnia ze śmiercią za pan brat, co dnia na ogniowych pozycjach.

Choć w białych już rusztowaniach stała przywrócona do życia Warszawa. To najbardziej ukochane przez Niego miasto na świecie. Do którego szedł przez wszystkie pola bitew.

I wrócił do niej. Do serca kraju — Warszawy. Na zawsze.

W starym, bojowym mundurze, zbрызganym krwią.

„Warszawski” generał. Nasz „Stary”. Karol Walter-Świerczewski.

Człowiek, który się kulom nie kłaniał. *Janina Broniewska*

PATRZCIE, TO MÓJ OJCIEC*)

Edek lubi chodzić do kina. Nieczęsto mu się to zdarza, więc tym większa uciecha za każdym razem. Ma się rozumieć ulubieńcem Edka jest Tom Mix. Ten wspaniały człowiek wszystko potrafi: prześcignie najszybszy samochód, polecie samolotem jako... pocztowa przesyłka w worku od listów. Ba! Wdrapie się po gładkiej ścianie na kilkunastopiętrowy drapacz nieba i będzie dla własnej fantazji przechadzał się z uśmiechem po skraju dachu nad przepaścią ulicy rojącej się w dole samochodami i przechodniami wyglądającymi z wysoka jak drobne mrówki. Edek pochłania zachwyconymi oczami te obrazy migające przed nim na ekranie. Zachwyca się głośno: „To mi zuch!” i marzy: „Takim bohaterem być!”

Toteż gdy Edek wraca z kina, z listością prawie patrzy na kręcących się po ulicy przechodniów i mruczy pod nosem: „Tacy zwyczajni ludzie, po prostu — niedołęgi.” I jeszcze bardziej uwielbia sławnego bohatera filmów.

Zaczął raz Edek opowiadać ojcu o swoim ulubieńcu i jego nadzwyczajnych wyczynach. Ale ojciec nie bardzo jakoś słuchał. Był zmęczony po robocie, a może skłopotany jakimś swoimi sprawami. Powiedział do Edka:

— Daj ty mi spokój. Akurat mi tam kino i ten twój jakiś Mix w głowie! Daj mi spokój.

Edek obraził się i już nie próbował o tych sprawach rozprawiać z ojcem, tylko z gorzkim przeświadczeniem powiedział sam do siebie:

*) Według słuchowiska radiowego pod tym samym tytułem.

— Bo tato się na tym nie zna. Tato nigdy nie biegał w pogoni za gangsterskim samochodem, nigdy nie siedział tato oklep na dzikim mustangu, nigdy nie latał aeroplanem w worku od listów... Tato nawet jak chodzi, to idzie jakoś niezgrabnie, ciężko i pomału.

Tak myślał Edek patrząc spod oka na krzepką i harczystą, ale przygarbioną postać ojca, na jego silne, ale nieruchomo zwisające ręce. I zresztą mało teraz Edek widuje ojca. Rzadko. Ojciec dostał robotę przy budowie na nowej kolonii mieszkaniowej pod miastem.

Żeby zdążyć na czas do pracy, musi ojciec wyjść z domu wcześniej, niż Edek się budzi. A wraca o zmierzchu.

Nadeszła wiosna. Trafił się jakoś bardzo prędko dzień nad podziw piękny. O wczesnym ranku ruszyli chłopcy całą Edkową klasą spod szkoły przez miasto za rogatki. No ga w nogę szli, ramię w ramię.

Maszerujący chłopcy raz-dwa minęli duszne, ciasne i ciemne od starych kamienień śródmieście. Oto przed chłopcami wielki, ale to wielki plac. A na tym placu pełno nowo budujących się domów.

Słychać stukanie młotów, dziobanie toporów, pisk piły, zgrzytanie bloków, dźwigów i lin stalowych, szum spawania, dudnienie motorów, głośno rozkazujące okrzyki robotników. Stanęli chłopcy, wszyscy, ilu ich tam było na tej wycieczce. Stanęli i patrzą na ceglane i na żelazobetonowe mury w rusztowaniach jeszcze uwięzione, aż pod niebo sięgające. Na tych rusztowaniach co stąd, z dołu wyglądają prawie jak

pajęczyna, wysoko, wysoko, nad ziemią, jakby w powietrzu zawieszeni, roją się robotnicy. Migają kielnie, migają w ich rękach młoty, dłuta i świdry miotając w słońcu olśniewające blaski.

Patrzy Edek z kolegami i oczu oderwać nie może od tych ludzi tam wysoko, a w głowie mu się aż kręci.

Na takiej wysokości, między niebem a ziemią, nad przepaścią stoją i siedzą na linach, na wąskich deskach, na sznurach — i pracują, pracują najspokojniej w świecie.



Jakby to była zwykła rzecz! A przecież jeden nieostrożny ruch, jedno niebacznie stąpienie... i...

Wpatrzony w kadrę robotników budowlanych przypomina sobie Edek kino i tego filmowego bohatera balansującego na krawędzi drapacza chmur dla niczego właściwie: dla pochwalenia się przed gawiedzą

swoją dobrze opłaconą, na nic nikomu niepotrzebną zručnością. I Edek aż zarumieniał się, z przykrości, ze wstydu.

— Tamten miałby być moim bohaterem. Nie! Nie! To tutaj są prawdziwe zuchy.

A tymczasem wychowawca wyjął ze skórzanego futerału czarną polową lornetkę. Popatrzył sam przez szkła lornetki, a potem puścił ją między chłopców. Lornetka, witana okrzykami radości, szła długo kolejką, aż doszła do rąk Edka. Podniósł ją czym prędzej do oczu. Skierował uważnie szkła na najwyższe piętro budynku pokrywanego dachem. I nagle stanęło serce w chłopaku... W robotniku pracującym najwyżej, w najniebezpieczniejszym, najbardziej wyniesionym miejscu na szczycie wielkiej budowli poznał... kogóż to?

Na tej ogromnej, nadludzkiej wysokości robotnik posuwał się po sa-



mym skraju pewnym, śmiałym, lekkim krokiem, dźwigając przed sobą wielki arkusz blachy do pokrywania dachu.

Blask słońca pada na ten metalowy arkusz i zwykła cynkowa blacha w rękach robotnika jaśnieje jak drugie słońce. Edek odejmuje lornetkę od oczu. Oczy mu błyszcżą. Oddech drży. Edek oddaje wychowawcy lornetkę i mówi zacinając się trochę:

— To mój ojciec — blacharz.

Wychowawca i wszyscy chłopcy zwracają oczy w tę stronę, gdzie na szczycie budowli w rękach blacharza pali się słonecznym blaskiem arkusz blachy jak drugie, jaśniejsze, bliższe nam słońce. Mrużą oczy pod tym blaskiem. Mówią:

— To ojciec Edka.

Gdy Edek wrócił wieczorem z wycieczki, podbiegł do zgarbionego nad kolacją ojca i przytulił zarumienioną twarz do jego twardych, poogniatanych i szorstkich rąk.



— A dajże mi spokój, nie w głowie mi czułości — powiedział ojciec.

Ale tym razem Edek się nie uraził. Dziś pierwszy raz zrozumiał, kim jest w rzeczywistości jego ojciec.

To się zdarzyło przed wojną. Wojna przerwała prace Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, budowę nowych domów. Wojna obróciła w ruinę i stare domy. Cóż stało się z Edkiem i jego ojcem? To samo, co z naszym miastem: nie dali się pognębić, nie dali się zabić. Żyją. Edek, ojciec Edka i — miasto. Zwyciężyli. Ojciec Edka, choć już skronie ma siwe, silny jest i bohaterski w pracy jak dawniej. Znów możecie go zobaczyć w blasku słońca, gdy stoi na szczycie budowli Związku Osiedli Robotniczych, on, przodownik.

A Edek? Edek studiuje na Politechnice. Będzie inżynierem-architektem. Będzie z towarzyszami kreś-

lił nowe plany wielkiego, pięknego miasta robotników.

Dziś młodszy brat Edka z kolegami idąc na wycieczkę szkolną, tak jak przedtem Edek, mija wyrastające pod niebo domy na budowie. Chłopcy maszerują tym samym, co Edek wtedy krokiem, ale piosenkę w marszu śpiewają nową:

Nie jestem sam,
idę ramię w ramię,
krok w krok
z gromadą towarzyszy.
Moje serce bije z tysiącem ich serc,
moja pierś zgodnie z ich piersiami
dyszy.

Nie jestem sam,
myśl moja
i mój czyn
ogniwa to wspólnego są łańcucha.
Gdzie zwrócę wzrok, gdzie
ściągnę dłoń,
czuję — mam druha.

Ewa Szelburg-Zarembina



W Kawęczynie kawka kawkę
prosiła na czarną kawkę:

— Przyjdź w niedzielę. Będę rada,
miło się przy kawce gada.

Kawka łepkę przekrzywiła,
głęboko się zamyśliła,

w końcu — dalejże grymasić:

— Kawka? Czy to napój ptasi?

I w dodatku czarna jeszcze,
na myśl samą już mam dreszcze...

A słyszałam także zresztą,

że na serce szkodzi — wiesz to?

Nie-e-e... Nie przyjdę. Do widzenia!
Kawka bardzo się zmartwiła,
na pięcie się odwróciła,
no i odleciała — pono
z miną wielce obrażoną.

Odtąd nigdy kawka kawkę
nie zaprasza już na kawkę,
a z przyczyny właśnie takiej,
że nie piją kawy ptaki.

W. Badalska

Proszę o zielone

Proszę o zielone — zaklekotał bociek
do zielonej żabki, co siedziała w błocie.
Ale mądra żabka szybko myk, pod wodę:
— Mile mi, bocianie, moje życie młode.

Rosły w trawie modre
niezapominajki
i boćkowi rzekły:
— Znamy takie bajki!
Chciałbyś żabkę połknąć,
lecz się obejdz smakiem;
żabka gra w zielone
z młodym tatarakiem.

Wł. Broniewski



Kozła

Na ulicy Koziej
Kozą dzieciom grozi.

Że je czeka wielka bieda,
Że koziego mleka nie da,
Że im każe stać na chłodzie,
Że rogami je pobodzie,
Że potopi je w ukropie,
I podepcze, i pokopie.

Szczęściem ludzie w to się wdali.
Milicjanci ją złapali.
Uwiązali na powrozie
I zamknęli kozę w kozie.

Jan Brzechwa

wielbłąd

Śmieje się zebra
z wielbłąda:

— Jak pan z tym garbem
wygląda!

— A pani
wielbłąd jej na to
wygląda jak pajac za to!

St. Raczyński



PRZYGODY DZIECI Z JASNEJ WODY

14)

(Ciąg dalszy)

Jagusia chwyciła patyk i skoczyła odganiać indora, ale obrona była ciężka: rozwścieczony ptak napastliwie atakował czerwonego straszaka gulgocząc bojowo.

Honorka, rzuciwszy parasolkę na pastwę indora, darła się wniebogłosy:

— Tato! tato! ratunku! mordują mnie!

Na domiar złego wypadł z młyna jak z procy zaalarmowany krzykiem Ciapek, z bojowo odwiniętym uchem, i rzucił się na krzyczącą Honorkę z ujadaniem, od koryta przy studni sunął złowrogo Szczypek, prócz tego Zbrys przy budzie i Wierny, uwiązany przy wózku Wiselki, robili harmider na całą wieś.



— Rysiek! Antek! ciociu! — wzywała pomocy Jagusia odpędzając

rozpaczliwie atak napastników w przewidywaniu, że nie da rady i że cała ta awantura może się źle skończyć dla gościa.

Chłopcy i młynarzowa nadbiegli w samą porę, kiedy Honorka, atakowana z czterech frontów równocześnie, wydawała dzikie krzyki o ratunek wymachując trzymaną w ręku palmą.

Kiedy już Tarapata, odpowiednio pożegnany przez Antka, gnał w stronę swojej górki przeskakując po drodze wszystkie płoty i rowy, indor i Szczypek wycofali się pod kurnik, a Ciapek wrócił do młyna, na przełazku ukazała się postać Apolinariego Małolepszego.

„Tata” przybył na odsiecz z olbrzymią palmą w ręce.

— Co się tutaj stało? — huknął na całe podwórze tak, że aż Brzdyk zagulgotał na nowo.

— Tato — rzuciła się do ojca Honorka — koziół mi zjadł czapkę, indor mi parasolkę po...

— Kto ci zjadł parasolkę?! — ryknął tata.

— Indor! I psy chciały...

Ale pan Małolepszy nie słuchał już, co „chciały psy”, tylko krzyczał, czerwony ze złości jak pomidor.

— To po kiego licha włóczysz się po dziurach?... Przełaż mi tu w tej chwili przez płot!

Honorcia, pochlipując, wgramoliła się na przełazek i poszła do domu bednarza z gołą głową i podziurawioną parasolką, a w dodatku jeszcze poszturchiwana z tyłu przez rozsierdzonego tatę.

O CZARODZIEJSKIEJ FUJARECZCE, WŁADKU SOBIERADKU I TAŃCZĄCEJ BECZCE

— No, gdzież jest ten chłopak? Niech się pakuje do auta, bo już czas jechać — mówił podniesionym głosem wujek Małolepszy po zjedzeniu tegiej porcji jajecznicy ze słoniną.

— Nie będę się nocą włóczył po dziurach! — krzyczał nie ukrywając złego humoru.

— Władziu! Władziu! — nawoływał po domu i po obejściu Prot Rzepka, ale nikt na jego wołanie nie odpowiadał prócz indora Brzdyka zza młynarzowego płotu.

— Gdzież się podziało to chłopaczysko, toć daleko nie odszedł, musi być gdzieś blisko! — dogadywał Prot rozglądając się po podwórzu.

— Tylko żadnych kawałów — przestrzegał puszczając się groźnie wujek Apolinary — żadnego ukrywania, żeby mi się chłopak znalazł, bo wezwę milicję!

— Milicją mnie pan nie strasz, bo się nie boję, a chłopca sam szukam, jak mogę — powiedział spokojnie Prot Rzepka, pokręcił się jeszcze chwilę po podwórzu, a następnie podbiegł do płotu.

— Ejże, Jaguś, czy nie ma tam u was przypadkiem mojego Władzia?

— Nie, nie ma!

— A może pomoglibyście mi go szukać?

Było im w to graj. W jednej chwili po domu i podwórku bednarza uwitali się Jagusia, Ryś i Ciapek nawołując, naszczekując i biegając po wszystkich kątach.

Ciapek, przekonany, że się poszukuje szczurów, przy każdej norze mysiej robił awanturę, harmider nie

do opisanie, że właśnie znalazł to, o co chodzi, ale na ślad Władka nie trafiono...

Wuj Małolepszy nieufny wobec całego otoczenia, sam osobiście zaczął się gramolić po drabinie na strych domu, krzyząc:

— Znajdę tego hultaja! Siłą zabiorę, kiedy dla rodzonej krwi nie ma uszanowania.

Wdrapawszy się na strych stanął zasapany, rozejrzał się bacznie po kątach i krzyknąwszy:

— Mam cię, bratku! — rzucił się za stojącą pod wyglądkiem drewnianą pakę i całą garścią pochwycił jasną Władową czuprynę. Ale, niestety, była to tylko czupryna — nic więcej i to wcale nie Władka, ale konopiana! leżała tu sobie w kądziołkach czekając na ręce babki Matuski, które by ją sprzedały.

Pan Apolinary cisnął w kąt kądziołkę i krzyknął:

— Spod ziemi wyrwę tego urwisa, a zabiorę ze sobą!

W tejże chwili w okrągłym okienku stryszku nad składzikiem coś jakby mignęło i jakby się ozwało leciutkie fiukanie fujareczki wierzbowej...

Tak się przynajmniej wydało Rysiowi, który stał tuż przy panu Apolinarym.

Gdy pan Apolinary zszedł z drabiny sapiąc jak lokomotywa i rzucił się do dalszych poszukiwań po zabudowaniach, zaglądając nawet do paki na sieczkę w obórcę, w tej chwili ze strychu, w wyglądku, pod którym leżały konopne kądziołki, mignęło coś jasnego, właśnie jak ko-

nopiana kądziel, i znowu jakby za-
fiukała delikatnie fujareczka.

Pan Apolinary przetrząsnął je-
szcze składzik ze starymi, pustymi
beczkami i szaflikami zaglądając do
każdego statka i nachmurzony wró-
cił do domu. Usiadł ciężko na ławie,
żeby chwilę odsapnąć, ale w tej
chwili się poderwał i ze słowami:

— A tuś mi, urwisie! — rzucił
się na perkalową zasłonę, spod któ-
rej wyglądały Władkowe buty; nie
znalazł tam jednak nic więcej prócz
kupoty bednarza i starych butów
Władka, oświadczył więc pełen god-
ności:

— No, więc ja jadę i rozbijać się
o tego drapichrusta nie będę, jeśli
nie ma życzenia z wujem się za-
dawać, to niech go bieda całe życie
gniecie! Chodź, Honorcia — ja-
dziem! — po czym wyszli przed dom
i wepchnęli się kolejno do auta.

— A niech tam pan powie temu
Zbysiu, czy jak mu tam, żeby się
na wuja nie oglądał, jak mu bieda
w oczy zajrzy! Albo — albo! — wo-
łał wytknąwszy z okna auta swój po-

teżny nos w kształcie dojrzałej tru-
skawki. — Albo — albo! — wy-
wijał przed nosem grubym palu-
chem. — Niech on sobie wybije z...

Auto, kwiknąwszy dziko, szarp-
nęło tak nagle, że pan Apolinary
Małolepszy opadł gwałtownie na po-
duszki i nie dokończywszy prze-
mowy, co ma sobie skąd wybić „Zby-
siu, czy jak mu tam“, pognął wraz
z nadętą Honorcią tam, skąd przy-
jechał, nie osiągnąwszy celu po-
dróży.

A tymczasem cel podróży pana
Apolinarego, w osobie Władka, był
w dalszym ciągu ukryty.

— Władek! Władek! Już pojecha-
li! — wołał bednarz drepząc po po-
dwórku.

Władek! wylaź! — niecierpli-
wił się Rysiek.

Ale nie było odpowiedzi.

— Wpadł w jaką dziurę, udusił
się, czy co? — niepokoił się już Pro-
tazy wchodząc właśnie do składziku.

M. Kownacka

(Dalszy ciąg nastąpi)

BAŚŃ O SZKLANEJ GÓRZE

(Dokończenie)

Stach zaciska krzepkie pięści:
— Wierzę, że mnie się poszczęści!
— Jesteś dobry, mądry, mocny,
lecz ktoś musi być pomocny.
Sam, choćbyś był Waligórą,
nie mierzyć ci się z tą górą.

A ten Stach był zuchem
prawdziwym.

A ten Stach podjął mądry, wielki
trud:
na pustkę przy Szklanej Górze
zwołał hutniczy lud.

— Wzniesiemy tu takie miasto,
na jakie nas, hutników, stać!
Ze szkła zbudujemy domy,
co wieki będą trwać!

Wybudowali wspólnie szklane domy,
barwne, piękne, wysokie.
Zrównały się szczyty tych domów
ze szczytem Szklanej Góry pod
jasnym obłokiem.

Królewna na Szklanej Górze
nie musi siedzieć już dłużej,
da jeden tylko krok
naprzód, w tył albo w bok
i jest w kaździutkim domu.
Nie wadzi to nikomu,
radzi witają ją wszyscy,
bo tu są sobie bliscy.

Za królewną krok w krok
potulny drepce smok.
Dzieci szklanego miasta
za psa go mają — i basta.
Przywołani depeszą
starzy królestwo śpieszą.

Biją srebrne dzwony
w kryształowym kościele:
— Bę — dzie, bę — dzie wesele!
Bę — dzie, bę — dzie królewna
żoną Stacha hutnika.
Bę — dą, bę — dą szczęśliwi,
bo baśń szczęście przenika.

A Czarodziej markotny,
że jest już bezrobotny.
Poradzili mu w mieście:
— Cyrk nam urządź nareszcie.
Będiesz w cyrku mógł czary
pokazywać bez miary.
No i zrobił tak stary.

I ja także tam byłam.
Głośno brawo mu biłam!

Ewa Szelburg-Zarembina

K O N I E C



POWRÓT PTAKÓW

Jeszcze mróz ściska nieraz, jeszcze ani ździebelko trawy młodej nie wyrzy spod śniegu i zeszlórocznych liści, a już zlatują do nas pierwsze zwiastuny wiosny, przyjaciele rolnika: skowronki. Śpieszno im do ziemi rodzinnej. Inne ptaki powracają później. Jedne, bo się boją chłodu, inne, bo droga daleka. Nasze pocztowe boćki zaleciały aż do południowej Afryki. Muszą przebywać daleką drogę i dlatego już w lutym, czy w marcu ruszają w podróż, robiąc po 400 km dziennie, np. jak z Warszawy do Jeleniej Góry, aby tylko wrócić najpóźniej na świętego Wojciecha. Równie daleko zapuściły się jaskółki dymówki — te z długim ogonkiem i czerwonym podgardlem. Razem ze skowronkami wracają szpaki, jedne z najszybszych wędrowników ptasich, bo lecą one 70 km na godzinę, niczym samo-

chód. Potem już można usłyszeć nad głową żalosne zawodzenie czajki, a niech tylko zazieleni się trochę, to już co dnia przyhywają nowi podróżnicy. Lecą żurawie, kaczki, całe stada małych śpiewaków ze słowikiem na czele, wszyscy się śpieszą, aby czym prędzej do swoich stron dolecieć, gniazdko wcześniej zbudować i młode wyprowadzić. Tylko nieliczne piecuchy: wilgi, kukulki, dzierzby gąsiorki, chruściele i derkacze czekają majowego słonka. W przeciwieństwie do nich, ledwie u nas zacznie śnieg tajać, zimowi goście gile, jemioluszki, czeczotki co sił w skrzydełkach mkną na północ do swojej ojczyzny. I wiosną, i jesienią nieraz można zobaczyć całe chmury ptactwa lecące zwykle nie wyżej jak jakieś 100—500 m nad ziemią: gna je jakaś niezbadana siła, która od wieków każe im dążyć zawsze tymi samymi drogami.

H. Zdżitowiecka

Robimy sami



Do zrobienia tych owadów potrzebne są żółdzie, drut, koraliki i nasionka klonu. Wygięte druciki — nóżki obsadzamy w zrobionych gwoździem i napęcznionych klejem

dziurkach. Ze skrzydełkami postępujemy podobnie. Przed przyklejeniem główki przewlekamy przez nią wąsy z cienkiego druciku i oprawiamy oczy z koralików.

Pomyśl chwilkę.

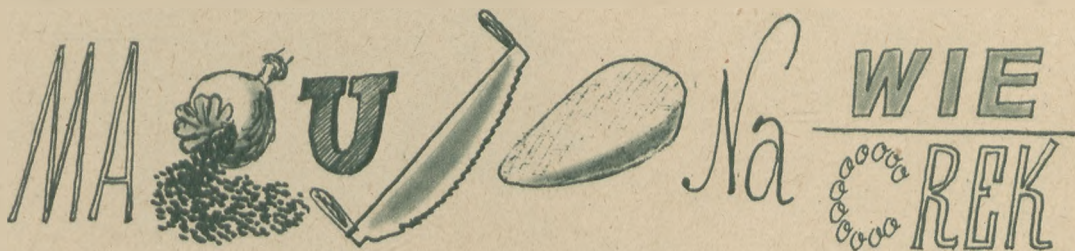
ZAGADKA

Ma rogate zwierzę
z boków po literze,
z czego się układa,
bardzo brzydka wada.

SZARADA

„Ma“ pierwsze
a drugie utopione w rzece.
Całości szukaj wśród miesięcy,
bo już nie powiem ci więcej.

REBUS



OD REDAKCJI:

KOCHANE DZIECI!

W Busku-Zdroju istnieje sanatorium dla chorych dzieci. Żeby nie traciły czasu, zorganizowano dla nich szkołę. Nie jest to zwykła szkoła, do której się chodzi na lekcje. Tutaj szkoła przychodzi do dzieci. Lekcje odbywają się na sali pełnej łóżek (bo i z innych sal dzieci przyjeżdżają na łózkach).

Te właśnie dzieci napisały do nas długi, serdeczny list. Ja już im odpisałam i tak sobie myślę, że dobrze by było, gdyby któreś z Was też napisało do nich. Podaję adres: Klasa IV Szkoły Sanatoryjnej „Górka” w Busku-Zdroju.

Wszystkie dzieci z tej klasy opodatkowały się na rzecz odbudowy Warszawy i już przekazały 154 zł.

Kl. IV Szkoły Podstawowej nr 1 w Siedlcach również opodatkowała się na ten cel i będzie co miesiąc zebrane składki przekazywać do Głównego Komitetu Odbudowy Warszawy.

Kl. III Szkoły w Kowalewsczynie przekazała nam 220 zł na ten sam cel.

Na resztę bardzo ciekawych listów nadesłanych nam przez dzieci i całe klasy odpowiadamy listownie.

Plomyczek

WARUNKI PRENUMERATY

Cena pojedynczego egzemplarza	zł 15,—
w prenumeracie miesięcznej (2 numery)	zł 27,—
za okres od 1. IV. 49 do 30. VI. 49	zł 75,—
rocznie	zł 250,—

Szkoły przy prenumeracie zbiorowej otrzymują na każde zaprenumerowane 10 egzemplarzy jeden egzemplarz bezpłatnie.

Prenumeratorzy korzystają ze specjalnych ulg przy zakupie wydawnictw Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia”. Należność za prenumeratę wpłacać można na konto w P. K. O. nr V-522.

ADRES ADMINISTRACJI: POZNAŃ, UL. MATEJKI 66.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: BOHDAN BOCIANOWSKI
Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.



Wiosenna kałuża to jeszcze nie morze,
ale mogą po niej pływać takie okręty

Fot. T. Bukowski